OPIEKUN DOMOWY

Warszawa dnia 10 (22) Maja 1867 roku.

Nr 21. Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji na stacjach pocztowych 75 kop. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. Rok III.

TREŚĆ: Kanał Suezki, napisał *Wołody Skiba* (z drzeworytem).— Powrót bocianów, poezja, przez tegoż (z ryciną).— Przemytnicy, opowiadanie Fulgencjusza Pirożko (ciąg dalszy).— Przykład pomocy własnej, przez *Wład. S.*—Rozmaitości.—Myśli i Zdania.

KANAŁ SUEZKI.

Jednem z największych dzieł naszego stulecia jest bezzaprzeczenia kanał Suezki—największych nie tylko olbrzymiością samego przedsiewzięcia, nie tylko ważnością jaką dla handlu i cywilizacji mieć musi połączenie dwóch mórz, ułatwiające stosunki dwóch światów i niejako zbliżające je z sobą, lecz także ogromem trudności jakie przedstawiały się do zwalczenia wielkiemu mężowi, który to dzieło ducha, potrafił pomyślić, wynaleźć i wyjednać środki do dokonania i dokonać jedno z największych dzieł współczesnych. Ta okoliczność, a przedewszystkiem ważność samego dzieła Lessepsa, skłania nas do podania tutaj zastosowanej do rozmiarów naszego pisma wiadomości o kanale suezkim.

Czerpiemy szczegóły tu podane głównie z opowiadania p. Juljusza v. Vallner, Wiedeńczyka. Opis jego już z tego względu zasługiwał na pierwszeństwo, że jest rzeczywiście *najświeższym*, p. Vallner bowiem zwiedził międzymorze i roboty koło kanału przed niespełna dwoma miesiącami.



Kanał Suezki. (Rysunek i drzeworyt Kazimierza Kuczyńskiego).

przedsięwziął i dokonał, niezmordowaną wytrwałością i nieugiętą żelazną wolą pokonywając przeszkody, któreby mniej potężnemu duchem człowiekowi, cofnąć się kazały na pierwszym kroku. W głośnem i nader słusznie wysoko cenionem dziele Samuela Smilesa, którego przekład polski wychodzi obecnie i znajduje niezwykłą w dzisiejszych czasach liczbę czytelników, autor pominął życiorys Lessepsa, chociaż tam właśnie jedno z wybitnych miejsc zająć by mógł opis działalności męża, który ufny w siłę swego przedsiebierczego

Oto są słowa podróżnika:

„Przeszłej niedzieli, d. 7 Kwietnia 1867 r. pojechałem z synem konsula jeneralnego austrjackiego koleją żelazną do Suezu. Bezchmurne niebo groziło nam strasznem gorącem, które podczas pięciogodzinnej podróży przez pustynie, może stać się nieznosnem nawet dla ludzi silnej i zahartowanej natury. Jednak wagony kolei żelaznej z Kairu

do Suezu są urządzone odpowiednio, aby zapobiedz zbytecznemu upałowi: okna opatrzone są zaluzjami, a po nad sufitem znajduje się jeszcze rodzaj dachu zabezpieczający od rozgrzania. Okazało się też, że skwar z łatwością wytrzymać było można; nie trudno zaś pojąć jaki być musiał, kiedy w Kairze już od połowy Marca termometr nie stał niżej jak na 19 stopniach Réamura, a często po całych dniach w pokoju pokazywał 21 stopni.

„Kolej w niewielkiej odległości za Kairem zwraca się na wschód, opuszcza Deltę, to jest noszącą to nazwisko część Egiptu zroszoną i użyźnioną przez wody Nilu, ostatnie palmy i drzewa oliwne znikają, widać tylko jeszcze przez czas jakiś obelisk Heliopolis osamotniony i odłączny od swych towarzyszy, który nam przypomina długie godziny wesoło przepędzone u jego stóp, a nareszcie znika po za wzgórzami odwiecznych zwalisk i pomarańczowemi drzewami..... Jesteśmy na pustyni..., jak daleko oko zasięga widać tylko piasek i kamienie.

„Wkrótce przecież ożywia się ten obraz. Wysoko wzbijające się słońce ułożyło warstwy powietrza odpowiednio i ukazywać się zaczęły te cudowne zjawiska optyczne, które Arabowie *sirâb*, Francuzi *mirage*, a Węgrzy mający je również u siebie na rozległych swoich stepach *delibabą* nazywają. Zdziwione oko, dokoła spostrzega to w większej to w mniejszej odległości wspaniałe jeziora, w których przezroczu odbijają się leżące za niemi wzgórza, jedne kamieniste i strome, inne znów kształtem uderzająco podobne do gór śnieżnych. Prądy wiatru przebiegające w różnych warstwach powietrza stanowią siłę, która tworzy te łudzące widziadła i kształt im nadaje fantastyczny. Małe krzaki, kolczaste zioła, których nawet na pustyni nie brakuje, odbijając się w czarownem zwierciadle powietrza, zamieniają się w wielkie drzewa, w pośród których nieraz ukazuje się karawana, której wielbłądy brodzą w wodzie, to znów zapadają w nią głębiej i znikają. Cały ten obraz jest tak kalejdoskopowo zmieniony, że niepodobna się znużyć patrząc nań i przypatrując się co chwila nowo wyrastającym z pośród nieskończonych fal złudzenia wyspom.

„Godziny całe pędzi pociąg bez zatrzymania się. Nakoniec przybywamy do stacji; lokomotywę napojono wodą uprzednio sprowadzoną koleją żelazną. Nieliczni mieszkańcy domu stacyjnego leniwie wyłażą z niego, aby się przypatrzyć przyjściu pociągu, który jest nietylko jedynem urozmaiceniem ich monotonnego życia, i który także wszystko z sobą przynosi co jest potrzebnem do zaspokojenia ich najmniejszych nawet potrzeb. Rośliny które tu i owdzie próbują hodować, giną nędznie nie wydając ani kwiatów ani owoców, a jednak znajduje się tu także europejski bufet, chociaż tak zaniedbany i brudny, jak wszystko co się w ręku Arabów znajduje. To niedbalstwo, ten brud, są to wszystko skutki twardego ucisku w jakim wzrastają ci biedni ludzie, którym przecież czystość przepisaną jest jako pierwsze przykazanie Koranu.

„Przed przybyciem do Suezu znajduje się jeszcze drugi taki przystanek, do którego woda teraz z Suezu się sprowadza. W bliskości tego przystanku grunt jest nieco górzystszy. Kolej idzie często głębszemi przekopami i zakreśla wielki łuk koło Dżebel-Awebe (*Dżebel* po arabsku znaczy *góra*), będącej pięknem przedgórzem innej góry zwanej Dżebel-Attaka. Następnie bieg kolei przesuwa się coraz dalej ku morzu, które już z daleka wązką ciemno-niebieską pręgą rysować się zaczyna na samym skraju widnokręgu.

„Tam leży Suez, wielki dworzec kolei żelaznej, jak śmiało by go nazwać można. Głównemi ulicami tego miasta przechodzi kolej; gmachy wielkich współek żeglugi—mieszkania robotników, europejskie domy wielu konsulów, wielki hotel angielski dla podróżników jadących do Indji albo wracających ztamtąd, uzupełniają fizjognomją miasta. Dzielnicę arabską z wązkiemi i brudnemi uliczkami trzeba odszukać, jeżeli się chce ją zobaczyć. Najbardziej interesującym punktem jest bezwątpienia hotel angielski, położony nad morzem wprost przed koleją żelazną. Tutaj jest się już całkiem w Indjach, zkąd pochodzi cała służba hotelowa złożona z pięknie zbudowanych smagłych dziewcząt, z których niektóre są dziwnie piękne a wszystkie żwawe, zgrabne i czyste aż do przesady, co stanowi przyjemną sprzeczność z ociężałością, niechlujstwem i hałaśliwością Arabów. Patrząc w ich mądre, marzące oczy, z łatwością się pojmuje, że ich przodkowie wspaniałe księgi Wedy utworzyli.

„Podczas naszego pobytu, przybyli tu także podróżni trzech wielkich okrętów: z Bombaj, Kalkutty i Port-Louis, głównego miasta wyspy świętego Maurycego, leżącej na oceanie Indyjskim. Anglików traktowano jak towary. Wyładowano ich i wyekspedjowano do hotelu, zkąd żaden nogą nie wyruszył. Co za różnica od Francuzów, a szczególniej od Francuzek: zaledwie wysiadły z okrętu, śpieszą na miasto, ażeby użyć tego krótkiego czasu jaki zostawał do odejścia pociągu i zobaczyć co było można.

„Chwila przybycia okrętów, była chwilą prawdziwego gwaru i niesłychanego ruchu. Przedstawiał się tu zamęt ludzi i języków, jaki pewno na żadnym punkcie kuli ziemskiej rozmaitszym i drastyczniejszym być nie może. Wszystkie kraje Europy i Wschodu mają tu swych przedstawicieli. Chińczyka z długim około głowy okręconym warkoczem, równie prawie łatwo spotkać można jak Indjanina, Persa lub Araba. Tylko Beduin lękliwie się ztąd usuwa, cywilizacja bardziej mu grunt pod stopami rozpala, niż pionowo ciskające promienie słońce piasek jego pustyń ojczystych.

„Mimo to wszystko oko nie czuje się zadowolonem, orzeźwionem; ciągle i z coraz nową przyjemnością zwraca się ono do cudnie purpurowych fal czerwonego morza, a gdy się znowu skieruje ku ziemi, to nie znajduje ani jednego drzewa, ani jednego źdźbła trawy, na którem mogłoby się zatrzymać. Prawda, przy zachodzącem słońcu nieokryta żadną roślinnością góra Attaka barwi się, jak to po raz pierwszy widziałem, wspaniałym fjoletowem kolorem, przerywanym smugami wapnistej śnieg przypominającej białości, lecz oprócz tego widoku, ze wszystkich stron ukazuje się tylko piasek, na drugiej nawet stronie zatoki także piasek, nigdzie ni śladu zieloności.

„Suezowi z trzech stron otoczonemu morzem, brakuje wody. Tylko w środkowym punkcie tak ogromnej drogi handlowej i takiego wielkiego ruchu może się na takim gruncie takie miasto utrzymać. Gdyby przez tydzień zabrakło okrętów i pociągów kolei żelaz-

nej, Suez ogłodzony i znędzniały byłby w przeddniu upadku.

„Gdzieniegdzie widzić można godne litości zwierzęta juczne, które nie znają co to jest trawa albo siano, tylko słoma i parę garści grochu stanowi ich pożywienie. Bydło przeznaczone na rzeź musi być zabijanem prędko, ażeby nie wychudło i nie podpadło chorobie. Nie ma żadnego źródła, żadnej studni.

„Dawniej musiano wyprawiać karawany wielbłądów o kilka mil, ażeby zaopatrzyć miasto w nieświeżą, ledwie zdatną do użytku wodę; karawany takie nieraz musiały się drogo opłacać Beduinom. Obecnie płynie tędy i wpada do morza żeglowny kanał wód słodkich, pełen przepysznej wody Nilu i w nowych domach potrzeba tylko zakręcić kurka, aby obficie wytrysnęła woda. W hotelu podają ją zawsze z lodem, co jest bardzo potrzebną przyprawą, jedzenie bowiem tutejsze składa się z niewielkiej ilości mięsa, obficie pieprzem i korzeniami zaprawionego. Gdy słodka woda wyługuje ziemię, cokolwiek przesiąkłą słoną wodą morską, to przyodziewać się ona zacznie szatą zieloną i zmieni się zupełnie postać okolicy.

„Wszystko to jest dziełem *jednego* człowieka,—wielkiego Lessepsa.

„Parę miesięcy temu poznałem go w Kairze i nauczyłem się go cenić. Z jego otwartych miłych oczu, zda się do rozmawiającego z nim przemawiać zupełne przekonanie o wykonalności jego ogromnego przedsięwzięcia. Jest to u niego artykułem wiary, o którym nie zwątpił na chwilę. Dokonanie tego dzieła jest jedynym celem, który zapełnia sobą całą jego energją i działalność, daleką od wszelkich egoistycznych widoków. To też nie można się dziwić, jeżeli w wyborze środków niezawsze jest skrupulatny, gdyż i ci co mu stawiają przeszkody, walczą z nim na wszelki sposób jaki się im nastręczy. Być może, że dzisiejsze środki towarzystwa akcyjnego, którego Lesseps jest przedstawicielem, kierownikiem i duszą, nie wystarczą do ostatecznego ukończenia przedsięwzięcia; być może, że dzisiejsi akcjonarjusze stracą swoje pieniądze; być może że i sam Lesseps nie dożyje szczęścia ujrzenia stanowczo ukończonem swego dzieła—mimo to wszystko, jednak pozostanie on wielkim mężem i pozostanie to czego dokonał, a to już samo jest ogromnem i zdawałoby się nie do uwierzenia, gdyby już zrobionem nie było. Lesseps nie tylko dowiódł możliwości połączenia dwóch mórz, któremu położenie jeograficzne, stosunki miejscowe, interesa i zazdrości polityczne, natura gruntu, brak ludzi i ogrom, tysiączne stawiały przeszkody—lecz jeszcze wynalazł i zdobył środki do dokonania tego olbrzymiego przedsięwzięcia i dokonał go nawet, doprowadzając pracę do tego punktu, że dziś już każdy inżynier przy dostatecznej ilości pieniędzy, mógłby ją zupełnie ukończyć.

Nie mogłem niestety objechać całego kanału ciągnącego się od portu Said do Suezu, zwiedziłem tylko jego część południową.

(*Dokończenie nastąpi*)

POWRÓT BOCIANÓW.

Z ramion Przyrody biały płaszcz zimowy
Spadł z pierwszym wiosny uśmiechem,
Świegotu ptaszat ozwały się echem
Zieleniejące dąbrowy,
W północną ziemię śnieżystych zamieci
Słońce spojrzało weselej,
W pogodne Niebo spoglądają śmielej
Męże, niewiasty i dzieci.

Wszystko już nową przyodziane szatą
Nowego zda się czuć ducha,
Tylko tam w górze jeszcze cisza głucha,
Na starym dębie przed chatą;
Na starym dębie co wśród wichru tańców
Zwykł hardo wznosić swe czoło,
Jeszcze się klekot nie ozwał wesoło,
Jeszcze nie widać mieszkańców.

Gdzież on, gdzie ptak ten, przyjaciel domowy,
Co gdy w powietrze się wzbije,
Złośliwe gady i płazy i żmije
W zaroślach kryją swe głowy?...
On tam w dalekiej, południowej ziemi
Wieczną okrytej murawą,
Posyła oko w chmur gromadkę mgławą
I zda się wołać za niemi:

„Płyniecie tam w północny kraj,
Gdzie mała chatka, dąb stary....
Tam gdzie mój dom, tam gdzie mój raj,
Gdzie stroić zwykł najcudniej Maj
Szerokie niebios obszary.

„Gdziem ujrzał dzień, gdzie pierwszy raz
W lot wzbiły skrzydła me dzieci,
Gdzie dobry lud zapyta was:
Czy wiosny już powraca czas?...
Czy prędko bocian przyleci?...

„Płyniecie tam, gromadki chmur,
Pozdrówcież lud ten kochany,
Niedługo liść okryje bór,
Ozwie się wnet ptaszący chór,
Powrócą wkrótce bociany!...

„Bo w pośród tych auzońskich ziem
Dokąd wygnała je zima,
Choć Niebo tchnie wiosennym tchem,
Życie im jest jakoby snem
O szczęściu, którego nie ma!"

Płyną po Niebie chmury i wieść niosą
O prędkim wiosny powrocie,
Łan, który człowiek orze w czoła pocie,
Ożywczą skrapiają rosą;
Płyną do ziemi we wszystko ubogiej
Prócz serc, a z niemi wieść płynie,
Że tam bociany w południa krainie
Już się gotują do drogi.

A gdy zawisły tę powietrzne gońce
Nad fali wiślanej wstęgą,
Gdy błoń się stała niby czystą księgą,
Gdzie wiosnę pisało słońce,
Auzońskich krain gość, co wiernie chowa
Pamięć rodzinnej swej ziemi,
Rozbił powietrze skrzydłami czarnemi,
Dotrzymał danego słowa.

Oto on... usiadł na gnieździe wysokiem
I długim utrudzon lotem,

Wita dąb stary wesołym klekotem,
W okół ciekawem mknie okiem;
Całą krainę widzi uśmiechniętą
Jednym witania uśmiechem,
Dąbrowa szumi pieśni ptasząt echem,
Przed chatą radość i święto.

Ojciec zaprzestał kopać w ziemi łonie
I wita ukłonem druha,
Gromadka dziatwy klekotania słucha,
A matka wyciąga dłonie...
Wszystko dokoła z radością pozdrawia
Miłych, serdecznych swych gości,
A stary bocian patrząc z wysokości,
W te zda się słowa przemawia:

„Witajcie mi, jam waszych błoń
I waszych dobrych serc świadom,
Wasza mi dom usłała dłoń,
Ja w zamian wam przynoszę broń
Przeciwko żmijom i gadom.

„Błogo mi tu wśród waszych pól,
Tu będzie mi najweselej
Podzielać wraz rozkosze, ból,
Czem stworzeń Pan, czem świata Król,
Czem Bóg nas wspólnie obdzieli,

„Więc dalej!... tam, gdzie woła trud,
Wy prujcie ziemię żelazem,
Niech siejba ziarn da żniwo cnót,
A ja ze złem bój będę wiódł....
Więc dalej!. . pracujmy razem!"

Wołody Skiba.

PRZEMYTNICY.

(*Ciąg dalszy*, patrz N-r 20)

Parę tygodni przesiedziałem w domu, wypadało czekać zabliźnienia rany; w tym czasie odwiedzał mnie p. Woszczyński, mówił o zabiegach Stolarskiego, o wachaniu się p. Teresy—zniecierpliwiony jednak moim milczeniem, odjeżdżał zły i zniechęcony. To znowu inną razą dodawał: szkoda panny — poczciwa, rzędna, jak kogo pokocha to mu pewnie da szczęście... — I wówczas przychodziło mi na myśl użyć pośrednictwa p. W., ale nie miałem odwagi — już to pod tym względem byłem zawsze niedołęgą.

Skończę w kilku słowach, czego i wy domyślicie się.... p. Teresa została p. Stolarską bardzo prędko, — a ja przestałem do Żelówki jeździć. I nie było, bo czasu, klientela rosła z dniem każdym, rzadko siedziałem w domu, chyba na chwilę doń zaglądając. W liczbie pacjentów nie raz mi się i przemytnik nadarzył, więc pomny na przestrogi starego ojca na wypadek wyżej opisany, korzystałem ze sposobności by się dowiedzieć o warunkach ich bytu, o niebezpieczeństwach na jakie się narażają i t. d. i t. d. Przekonałem się wkrótce, że była to istna podjazdowa wojna w całem znaczeniu tego wyrazu: obie strony (kontrabandziści i strażnicy) na chwilę nie zawieszały broni, obie uważały za dobry każdy środek prowadzący do celu — podstęp więc, zdrada, napad, zbrodnia, wszystko to od czasu do czasu miewało miejsce; walna bitwa wywoływała zwykle chęć odwetu w zwyciężonych, pod wpływem tej chęci szalone dowody odwagi i śmiałości składano; podjazdy jednak nieprzyjacielskie — nim się zdarzyła do zemsty sposobność, ścierały się ze sobą nieprzerwanie, ciągnąc małe zyski a na wielkie narażając się straty; byli w tej wojnie i przywódcy, jeżeli nie stający na czele każdej wyprawy; to przynajmniej moralnym wpływem górujący nad tłumem; strażnicy oddawali pierwszeństwo staremu weteranowi koledze, który już ze 40 lat przebojował na linji granicznej, ukochał to życie pełne niebezpieczeństw, istnym był rycerzem kresowym, wszelkie też subtelniejsze missje spełniał zręcznie z właściwą sobie przezornością i energją, nigdy nie napadał na skupioną gromadę przemytników obciążonych towarem, czekał chwili kiedy się rozpierzchną w różne strony, i wówczas świadomy rzeczy, wiedząc już zgóry (a miał dobrych szpiegów), która część kompanji najkosztowniejszą kontrabandę uwozi, rzucał się na nią znienacka, rozbijał, ludziom pozwalał uciekać, a sam z dobytkiem powracał do komory, nie troszcząc się o resztę;—był to system przez niego przyjęty, a tak trafnie prowadzony, że go przemytnicy nazwali od imienia weterana Maciejowską sztuką. Miał jednak Maciej pod koniec swego zawodu, godnego przeciwnika w kontrabandziście Moszku. Moszko mieszkał w małem miasteczku, o dwie milki od granicy oddalonem: królował on w niem w całem znaczeniu, kilka tysięcy brudnych synów Izraela hołdowało mu najzupełniej; tyle tam w tej rzeczy było posłuszeństwa dla Moszka, ile nienawiści; dla nieprzyjaciela uosobionego w postaci strażników: główny skład przemycanych towarów był w O., wszystkie umowy tu się zawierały, wszystkie produkta zabronioną drogą wkraczające do kraju, nim po nim rozesłane zostały, musiały wprzódy być w O., uledz opłacie przemytniczej, uzyskać sankcję Moszka...—słowem, jak widzicie, był on uosobieniem wszechwładzy, odbierał hołdy od bogatych kupców, rabini okalali go szacunkiem, składając w jego ręce prawo sądu nad jednowiercami; to też Moszko sądził powaśnione małżeństwo, godził je, albo rozwodził, asystował przy obrzędach weselnych, pogrzebach i t. d. i t. d. Z tego co się wyżej rzekło, snadno się domyśleć, że był to przebiegły i dziwnie zręczny żydek, oprócz bowiem głębokiej pobożności przypisywanej mu przez izraelskich mieszkańców O., posiadał trochę ogłady, otarał się wśród ciągłych zabiegów handlowych, ostróżny i grzeczny z obcymi, protekcji udzielał niektórym wybrańcom, lubił nawet przepych i zbytki, nigdy o przemytnictwie nie mówił, wobec władzy był sobie ubogim żydkiem, dzierżawcą gorzelni. Mieszkając w X. często o Moszku słyszałem, a Maciej będący powagą w tym względzie, znakomite mu nawet przypisywał zdolności; nieraz o zmierzchu przesuwał się starowina przez mój dziedziniec na koniu starym ale wypróbowanym, a kiedy zastanie mnie na ganku to i na gawędkę się zatrzyma, choć ze szkapy wcale nie złazi.

— Niech będzie pochwalony panie Macieju.

— A na wieki wieków—odpowiada, ot dziś i pogwarzyć można, objadę posterunek i basta, roboty niewiele, Moszko cicho siedzi teraz *na pokucie*, jakaś mu tam krewniaczka za granicą umarła.

— Cóż to za Moszko — zapytywałem zwykle, chcąc starego na słowo wyciągnąć.

— I jeszczeście go nie poznali panie, toż cała

kanalja, gdyby nie on wziąłbym sam na siebie uprzątnienie tej hołoty przewożącej *paczki*, bo to wszystko ciury do niczego, uciekać nawet nie umieją.

— A Moszko lepiej się sprawuje?

— Istny djabeł panie doktorze, przebiegły jak lis, 30 lat udawało mi się zręcznie podchodzić tych hultajów, a dzisiaj prawie ciągle *pudłuję;* Maciejowska sztuka do niczego, bo znalazł na nią ten poganin lekarstwo, szpiegów mi nasadza przekupionych, idę w pole, robię zasadzkę i cóż... wpada mi w ręce kilku żydów obdartych, a towary poszły sobie szczęśliwie do O... Moszko bestja się śmieje i ma się śmiać czego, bo nam potężne figle płata.

Podobną właśnie prowadziłem rozmowę ze starym strażnikiem, gdy wtem postrzegliśmy obaj pędzącego ku nam żyda.

— Wszelki duch pana Boga chwali! zawołał Maciej, a toż Szloma, może z *paczką*, sam mi w łapę lezie — i nasrożył się, dotknął pistoletu za pas wetkniętego i konia wziął króciej.

Jeździec Szlomą nazwany przyleciał przed ganek, zręcznie wyskoczył z siodła, popatrzył Maciejowi w oczy, kiwnął mu głową, jakby dobry znajomy, na co tamten splunął ze złością i wskazując w moją stronę—to doktor? zapytał.

— A czego chcesz bracie?

— Proszę pana doktora do O. zaraz, Moszko słaby.

— Jaki Moszko?

— Jakto jaki? — zawołał, nu Moszko, wielki, rozumny żyd, ot niech oni powiedzą— dodał spoglądając na Macieja.

— Wielki gałgan—podchwycił strażnik, król paczkowozów, ale jedźcie panie, ratujcie, lepiej niech na szubienicy, albo w polu zginie.

Wokamgnieniu znalazła się bryczka, koń Szlomy padł przed moim gankiem, żyd najobojętniej zdjął z niego siodło i tręzle, a przecie był to przez lat wiele jego wierny towarzysz; ale nie było czasu na żale, Moszko zachorował, a ta myśl takim przejmowała strachem posłańca, że z lekceważeniem patrzył na zgon szkapy, w historji przemytnictwa miejscowego zajmującej niepoślednie miejsce. Leciałem do O. zda się na skrzydłach ptaka. Cierpienie mego nowego pacjenta było chwilowe, choć miało pozory zatrważającej choroby, a gdy ulga nastąpiła prędko, ztąd i wiara Moszka we mnie urosła: okolił mnie swoją sympatją, a nawet protekcją. Łatwo po tem wszystkiem zdobyłem sobie w O. klientelę, całe miasteczko wierzyło w Moszka, Moszko zaś we mnie nieograniczoną ufność pokładał; to też od tego czasu niemal co dni kilka odwiedzałem to gniazdo przemytników, zawsze szczerze przyjmowany, a po opatrzeniu chorych musiałem do Moszka wstępować na herbatę—Moszko prosił, trzeba było słuchać, bo gniew Moszka był straszny.

W czasie takich odwiedzin, gospodarz zwykle mi wtrącił jakąś nowinkę, ostrzeżenie nieraz kiedy już była noc późna, a droga nie bardzo bezpieczna, wskutek zaś wałęsających się podejrzanych ludzi kradzieżą zajętych, dodawał mi straż honorową, dwóch konnych, a jednym z nich zawsze był Szloma...

— Ta psiawiara po Moszku prym trzyma, powiadał Maciej—a mnie się zdawało że Szloma nawet już wyżej stał od swego przewódcy, zręczny bowiem i silny, mógł nie spać całe tygodnie, pogardzał równie przyjemnościami życia jak i niebezpieczeństwem, ciągle na koniu jakby przyrósł do niego, to też na bryczce siedząc tracił zwykłę odwagę, a zaskoczony pieszo nie umiał sobie dać rady. Moszko zaś już się rozpieścił powodzeniem, z atłasowego szlafroka nie wyłaził, konia nie dosiadał prawie—i tylko w ważnych okolicznościach wyruszał w pole.

W takiej to okolicy będącej widownią nieustannej wojny, przeżyłem lat prawie 20, spokojny, nigdy nie szwankujący, choć miejsce zapasów wojowniczych, nieraz obok mojej odbywało się gospody tak blisko, że kule karabinowe często do mojego wpadały ogrodu, ale wcześnie uprzedzony o niebezpieczeństwie, przedsiębrałem należyte środki ostróżności... i jednak w końcu mimowoli uległem wielkiej biedzie—a jak się to stało opowiem.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

PRZYKŁAD POMOCY WŁASNEJ

(Podług niemieckiego przekładu dzieła Smilesa p. n. „Pomoc własna").

Opowiemy tutaj życie człowieka, który przeszedł ciężką szkołę cierpień i przeciwności i wyszedł z niej tak wysoko ukształconym i uszlachetnionym, że go śmiało za wzór do naśladowania przedstawić można. Mąż, o którym mówić zamierzamy, jest jednym z najpiękniejszych przykładów człowieka, twardą ręką losu zmuszonego do radzenia samemu sobie—życie zaś jego jest przekonywającym dowodem potęgi i moralnego celu pomocy własnej.

Walenty Duval urodził się w 1695 r. we wsi Artenay w Szampanji. Ojciec jego był ubogim wieśniakiem i odumarł go przed dojściem do dziesiątego roku życia. Naówczas we Francji panował straszny głód, który dziesiątkował ludność miast i wiosek. Matka bardzo uboga, oddała go w służbę do jednego z wieśniaków, który go użył do pasienia indyków. Raz młody Duval chciał się przekonać czy prawdą jest, że widok czerwonej chustki do wściekłości przyprowadza indyki—zawiązał więc jednemu z indyków powierzonych swojej pieczy na szyję chustkę tego niebezpiecznego koloru, co w istocie wprowadziło go w wściekłość, która go o śmierć przyprawiła. Rozgniewany tem gospodarz, wypędził Walentego ze służby. Znając ubóstwo swojej matki i nie chcąc być jej ciężarem, Duval polecił się Bogu i na los szczęścia opuścił swą wioskę rodzinną.

Było to na początku zimy w r. 1709, w którym takie okropne mrozy panowały, jakich najstarsi ludzie nie pamiętali. Napróżno biedny chłopiec chodził od wsi do wsi, od chaty do chaty, ofiarując swoją służbę: wszędzie ludzie mieli sami zbyt mało, ażeby opuszczonego od wszystkich do siebie przyjąć mogli—i Walenty przewidywał co rano, że końca dnia nie dożyje, lecz w drodze zmarznie albo umrze z głodu. Wszystkie te koleje opisał on później, dla tego dalej możemy opowiadać jego słowy:

„Idąc z Prowancji do Brie dostałem tak strasznego bólu głowy, iż co chwila myślałem że mi pęknie. Nakoniec przyszedłem pode drzwi jednej wiejskiej chaty i prosiłem człowieka który mi otworzył, o pozwolenie mi położyć się gdziekolwiek, rozgrzać i wypocząć. Człowiek ten wprowadził mnie do owczarni, gdzie w cieple prędko przeszło odrętwienie moich skostniałych członków— ból głowy jednak który mnie dręczył, dochodził prawie do obłąkania.

„Nazajutrz rano przyszedł wieśniak, aby zobaczyć co się ze mną stało. Przeląkł się ujrzawszy moje błyszczące, roziskrzone oczy, twarz napuchłą, szkarłatowo-czerwoną i pokrytą bąblami, i powiedział mi że mam ospę i że na nią umrzeć będę musiał, gdyż on sam ma zaledwie co jeść i nie może się mną opiekować w takiej dłu-

giej chorobie; niepodobna zaś było przy tak gwałtownem zimnie przenieść mnie gdziekolwiek, gdziebym mógł znaleść opiekę.

,,Widząc, że nie mam siły mu odpowiedzieć, człowiek ten uczuł litość nademną, odszedł na chwilę i powrócił wkrótce z pękiem starej bielizny, w którą mnie obwinął jak mumją, zdjąwszy ze mnie wprzód ubranie. W jednem miejscu owczarni zdjął wierzchni pokład gnoju, w zrobione tym sposobem wyżłobienie nasypał sieczki i miękkiej słomy, położył mnie na tem, przysypał sieczką i słomą i nakładł na to gnoju, który odkopał poprzednio. Po tem wszystkiem, zrobił nademną znak Krzyża św. i polecił mnie Bogu, najmocniej przekonany, że nie ujdę śmierci.

,,Pozostałem tak, leżąc jak drugi Job aż po szyję gnojem przykryty. Ciepło tego posłania i wyziewy owczarni, uratowały mnie. Dostałem potów, ospa rozwinęła się szybko i jad jej nie sprawił mi innej szkody, oprócz pewnej liczby dziobów na twarzy.

,,Podczas kiedym tak leżał w mem niezbyt wonnem łożu, srogie mrozy robiły coraz większe szkody w okolicy. Po za owczarnią, w której się znajdowałem, rosły drzewa orzechowe i dęby i rzadko która noc przeszła, żebym nie słyszał huku podobnego do grzmotu. Gdy się na drugi dzień pytałem o przyczynę, odpowiadano mi, że zimno jest tak wielkie, iż kamienie pękają i wiele wielkich drzew rozstrzaskało się do korzenia.

,,Jak powiedziałem wyżej, poczciwy wieśniak wyznał mi już że jest tak biednym, iż mną się opiekować nie może tak jakby sobie życzył. Podatki i daniny zubożyły go zupełnie. Zabrano mu narzędzia służące do uprawy roli i bydło robocze; nie zostawionoby mu nawet owiec, gdyby one były jago własnością, należały one jednak do dziedzica i miał je tylko w pachcie. Człowiek ten miał zatem słuszność mówiąc, że mi nic dać nie może.

,,W początku mojej choroby wprawdzie niebardzo mu byłem ciężarem, bo nic prawie jeść nie mogłem. Później starał się on sobie i mnie w inny sposób zaradzić: dawał mi rodzaj wodzianki, która tylko o tyle była posoloną, że nie była zupełnie mdłą; przynosił mi ją w zakorkowanej butelce, którą w gnoju trzymać mogłem, ażeby zachować ją w cieple. Było to pożywienie, którem żyłem wyłącznie przez dwa tygodnie— pragnienie zaś gasiłem czystą wodą.

,,Gdy stan mego zdrowia pozwalał mi już przenosić pożywniejsze potrawy, nie mogłem od mego dobroczyńcy dostać nic więcej, prócz zupy i kawałka suchego chleba tak zmarzniętego, że go siekierą rąbać trzeba było.

,,Pomimo, że to co mi dawał było tak małem, po pewnym czasie wieśniak zmuszonym był mi powiedzieć, że nadal już nie jest w stanie cobądź dla mnie czynić i że zniewolonym jest starać się uzyskać mi co u innych.

,,Mówił z proboszczem, który mieszkał o parę wiorst, a ten pozwolił przenieść mnie do domu położonego obok plebanji.

,,Wyciągnięto mnie tedy z mojego grobu, bo tak to śmiało nazwać było można, obwinięto gałganami i sianem, ażeby mnie zabezpieczyć od zimna, przywiązano mnie na grzbiecie osła i tak zaprowadzono do wsi, w której znajdowała się parafja.

,,Gdy tam przybyłem, byłem na wpół zmarznięty i myślano, że przynajmniej jaki członek postradać muszę, jeżeli wyjdę z życiem z tej podróży. Szczęście że ludzie, którzy się tem zajmowali, mieli dość przezorności i bezzwłocznie natarli mnie śniegiem, dopóki nie wróciłem do przytomności i ciepło nie wstąpiło w moje członki. Naówczas położono mnie w podobnem łożu jakie przedtem miałem w owczarni, i dopiero gdy po tygodniu mróz zwolniał, wzięto mnie do izby i dano mi łóżko, w którem pod opieką zacnego proboszcza prędko przyszedłem do zdrowia... Lecz pozostać tam nie mogłem.”

Puścił się zatem chłopiec dalej pomiędzy ludzi, kierując się zawsze ku miejscu, z którego słońce z rana z ziemi wychodzić się zdaje.

Po przebyciu Szampanji, znalazł wreszcie na granicy Lotaryngji jednego owczarza, który go przyjął do służby. Zostawał u niego około dwóch lat. Przypadkiem zrobił wtedy znajomość z jednym z mieszkających w pobliżu zakonników, który go polubił i zalecił czterem mnichom wielkiego klasztoru św. Anny, ci zaś przyjęli go chętnie na pasterza do swoich sześciu krów.

Duval sam tak opowiada:

,,Znalazłem tam nowe zajęcie — uczyłem się pisać. Jeden z naszych starszych zakonników, drżącą ręką wtajemniczał mnie w tę głęboką sztukę.

,,Ażeby zbyt nie obciążać dobrego starca, a naukę jego przyjąć, obmyśliłem sobie sposób następujący. Wyjąłem z mego okna jedną szybę, położyłem ją na wzorze i pisałem na szkle przebijające się litery. Pilne powtarzanie tego ćwiczenia, nauczyło mnie w krótkim czasie dosyć biegle pisać. Książka rachunkowa, która mi w ręce wpadła, nauczyła mnie czterech działań i ta godna podziwu nauka, która śmiałością swoich wyrachowań pochodnią wiedzy w najciemniejsze nawet sfery przenosi, stała się dla mnie źródłem niezmiernej rozkoszy.

,,Miałem zwyczaj szukać sobie w lesie w którym pasłem moje krowy, jakiego odpowiedniego miejsca, a znalazłszy je, przepędzałem tam nieraz znaczną część pięknych letnich nocy.

,,Jednego dnia kiedym się przypatrywał gromadkom świetlnych puncików porozrzucanych po niebie, przypomniało mi się co czytałem w Kalendarzu, że w pewnych dniach słońce wstępuje w znaki, które noszą imiona zwierząt [1]) jak baran, byk itp., zacząłem więc myślić coby to były za znaki i wyrozumowałem sobie, że to muszą być gromadki gwiazd ugrupowaniem do pewnych zwierząt podobne. Umysł mój zajął się wyłącznie tym przedmiotem. Wybrałem jeden z najpiękniejszych w lesie dębów i na szczycie jego zbudowałem sobie z wici wierzbowych siedzenie podobne do bocianiego gniazda. Co wieczór wdrapywałem się na to moje obserwatorjum, siedziałem tam i rozpatrywałem się po całem niebie, szukając obrazu byka albo barana. Ponieważ cuda optyki były mi zupełnie nieznajome, więc oczy tylko służyły mi za teleskop. Po długich daremnych poszukiwaniach, gdym już dalszych usiłowań chciał zaniechać, przyjazny wypadek dał mi dokładniejsze o rzeczy pojęcie i zapalił mnie nową ochotą.

,,Posłano mnie raz na jarmark do Luneville i zobaczyłem tam u jednej z bud mnóstwo obrazków wystawionych na sprzedaż. W ich liczbie znajdowała się mappa nieba, na której oznaczone były gwiazdy, oraz ich nazwiska i wielkość. Ta mappa, oraz kilka kart jeograficznych pochłonęły cały mój zasób pieniężny wynoszący około czterech franków. Mappy jakie za te pieniądze nabyłem, sprawiły mi nieopisaną radość. W ciągu kilku dni wbiłem sobie w pamięć rozmaite położenia gwiazdozbiorów (konstellacij), ażeby jednak módz zastosować właściwie tę umiejętność, trzeba mi było mieć na niebie punkt stały, z którego mogłyby wychodzić moje spostrzeżenia. Słyszałem kiedyś, że gwiazda polarna [2]) jest jedyną gwia-

[1]) Jest dwanaście takich znaków, z których siedm nosi nazwiska zwierząt; wszystkie zaś razem tworzą tak zwany Zwierzyniec (Zodjak), który słońce corocznie pozornie przebiega.

[2]) Jeżeli sobie wyobrazimy oś ziemską przedłużoną aż do sklepienia nieba ku północy, to padnie ona prawie dokładnie na tak zwaną gwiazdę polarną, a ponieważ oś ziemska nie zmienia

zdą niezmieniającą swoje położenie na naszej półkuli i że jej położenie wskazuje biegun północny, lecz jak miałem odszukać tę gwiazdę i przekonać się o jej nieruchomości? Po długich dopytywaniach powiedziano mi o jakiejś igle mającej własność wskazywać biegun ziemi, — w cud ten zaś ledwie wtedy uwierzyłem gdym go zobaczył. Na moje szczęście, najstarszy z naszych zakonników posiadał kompas, którego mi pożyczył. Z pomocą tej zadziwiającej igły, nauczyłem się wkrótce poznawać cztery strony świata, jako też *różę wiatrów* [3]), która na kompasie oznaczoną była. Ponieważ jednak nieznałem wysokości gwiazdy polarnej, którą przedewszystkiem znać trzeba, zatem aby ją znaleść wymyśliłem sobie sposób następujący: Wybierałem sobie jakąbądź gwiazdę, świdrowałem w gałęzi drzewa dziurę, przez którą widzieć ją było można i rozumowałem tak. Ta gwiazda stoi w miejscu, albo się porusza; jeżeli stoi w miejscu, to będę ją mógł zawsze widzieć przez dziurę którą wywierciłem—jeżeli zaś jest ruchomą, to się o tem wkrótce przekonam i z inną gwiazdą tę próbę powtórzę. Robiłem w ten sposób długo i do tego tylko doszedłem, że mi się złamał mój świder.

,,Wziąłem naówczas piękną latorośl bzu, rozkrajałem ją wzdłuż, wydobyłem rdzeń, związałem końce szpagatem i powiesiłem tak zrobione narzędzie na najwyższej gałęzi dębu, który mi służył za obserwatorjum. W ten sposób mając wszelką łatwość kierowania tej lupki na rozmaite gwiazdy, które chciałem obserwować, znalazłem wreszcie tę którą szukałem. Teraz już było mi łatwem poznajdować główne gwiazdozbiory, prowadząc w myśli linje od jednej gwiazdy do drugiej i stosując je do skali mojej mappy.

,,Gdy się tak obeznałem z mappą nieba, zamierzyłem obeznać się także z ziemią, tymbardziej, że przypadek dał mi w ręce *Życiorysy sławnych mężów* Plutarcha [4]) i dzieło Quintusa Kurcjusza [5]) i rycerskie czyny bohatérów, o których w książkach ludowych czytałem, znów w mym umyśle były przytomne. Chciałem się więc dowiedzieć gdzie były miasta i kraje, w których odznaczyli się owi bohaterowie i postanowiłem sobie wstępować w ich ślady, lecz je traciłem bardzo często, a nawet cierpliwość ich szukania.

,,Nie słyszałem nic przedtem o jeografji, widziałem tylko moje mappy i niemało nałamałem sobie głowy, żeby zrozumieć co znaczyły linje i koła, które na nich zauważyłem. W końcu wziąłem je za mile i wniosłem bez dalszego namysłu, że ziemia ma 360 mil obwodu. Kiedym się z tem pięknem odkryciem zwierzył jednemu z mnichów, który przed tem bawił w jednym klasztorze w Kalabrji (we Włoszech), powiedział mi on, że jadąc z tego klasztoru przebył więcej jak 360 mil i nie sądził, żeby świat objechał na około. Zobaczyłem wtedy, żem się bardzo omylił i zasmuciłem się niezmiernie; byłbym może stracił całą ochotę do jeografji, gdyby nie zaszedł następny wypadek.

,,Każdej niedzieli w Luneville służyłem do mszy w kościele Karmelitów, raz więc zaszedłem do ogrodu tych zakonników i zastałem tam pewnego znanego mi pana, pilnie czytającego książkę. Był to *Przewodnik ziemioznawczy* Delaunay'a. Poprosiłem tego pana o pożyczenie mi tej książki, co on też z chęcią uczynił. Właściwie miałem zamiar przepisać ją sobie, paląc się jednak z niecierpliwości dowiedzenia się co się w niej mieści, już w drodze czytać ją zacząłem i gdy przybyłem do mej dostrzegalni na dębie, wiedziałem już co znaczyły koła i zrozumiałem, jak małą jest nasza ziemia w stosunku do ogromu wszechświata.

,,Zapaliłem się tak do jeografji, że na jawie i we śnie o niczem więcej nie myślałem, a ponieważ brakowało mi zupełnie środków do uzupełnienia moich wiadomości, postanowiłem sobie zaradzić temu. Wypowiedziałem zaciętą wojnę zwierzętom leśnym, jedynie w celu sprzedawania ich skór, ażeby za zebrane pieniądze kupić mapp i książek. Po kilku miesiącach zarobiłem w ten sposób około 150 franków i puściłem się do Nancy jedynie po to, żeby sobie książek kupić. Brałem wszystko co mi w ręce wpadło: tłómaczenie Historji naturalnej Plinjusza, Historją Inkasów [6]), Bajki Lafontaine'a itd. Oprócz tego kupiłem mnóstwo mapp, poczciwy zaś księgarz udzielił mi kredytu na blizko 40 franków chociaż mnie nie znał, mówiąc mi, że po moim zapale i po mej poczciwej twarzy widział, że go nie oszukam! Uginając się pod ciężarem mego skarbu, szedłem pięć mil z powrotem do klasztoru i cela moja stała się światem w miniaturze: wszystkie bowiem jej ściany, sufit nawet, były krajami i prowincjami pokryte."

Tutaj przerwać musimy opowiadanie szczegółowe dalszych kolei młodości Duvala, nie mamy bowiem pod ręką tej części własnych jego pamiętników — dalsze więc losy jego opowiemy tylko w streszczeniu.

Raz znalazł w lesie złotą pieczęć i prosił księdza najbliższej miejscowości, żeby wezwał z ambony właściciela do zgłoszenia się po jej odbiór. Właścicielem był pewien Anglik Forster, sławny uczony. Oddając mu kosztowną zgubę, Duval prosił go o objaśnienie znajdującego się na niej herbu. Zdziwiony tym dowodem zamiłowania nauki i ucieszony zarazem poczciwością stojącego przed nim w biednej odzieży młodzieńca, Anglik zajął się nim szczerze, odwiedzał go bardzo często dopóki bawił w tamtych stronach, i podarował mu przeszło sto książek.

Niepohamowany zapał, z jakim młody pasterz oddawał się swoim naukom, był jednak powodem, że coraz bardziej zaniedbywał bydło powierzone jego pieczy. Gniewało to zakonników, jeden zaś tak daleko się posunął w gniewie, że mu zagroził popaleniem książek, jeżeli bydła lepiej doglądać nie będzie. Spalić jego książki, spalić to co miał najdroższego w świecie..... tego już było dla Duvala zanadto. Schwycił pogrzebacz, wypędził zagniewanego zakonnika, zamknął się w swojej celi i nie otworzył drzwi dopóki nie zawarł z zakonnikami formalnego układu tej treści: że mu codziennie pozostawionem będzie dwie godziny wolnego czasu na naukę, on zaś obowiązywał się służyć klasztorowi jeszcze przez dziesięć lat tylko za stół i ubranie. Od tego czasu, pokój pomiędzy nim a klasztorem więcej zakłóconym nie został. Duval wymienia nawet jednego z zakonników, brata Pawła, jako człowieka pełnego łagodności i chrześcijańskiej miłości. Raz przekonawszy się, że Duval w klasztornej samotni czuł się szczęśliwym i zadowolonym i żadnego nie miał pociągu do poznania wielkiego świata, brat Paweł poklepał go serdecznie po ramieniu i rzekł:

— Zrobiłeś wiele, boś się nauczył być swoim własnym przyjacielem, a jako taki nie będziesz nigdy sam, lecz będziesz przyjacielem wszystkich.

Z większym jak kiedykolwiek zapałem, pracował odtąd Duval nad kształceniem się w cieniu drzew lasu, w którym

---

swojego kierunku, przeto gwiazda polarna jest stałym punktem na niebie, około którego wszystkie inne gwiazdy północnej półkuli w ciągu 24 godzin odbywają ruch kołowy, rozumie się tylko pozorny.

[3]) Różą wiatrów nazywa się figura przedstawiająca 32 odmienne kierunki wiatru, to jest tyle ile ich liczą marynarze, dla których podział nieba na cztery strony: północną, południową, wschodnią i zachodnią, a nawet na ośm to jest z dodaniem północno-wschodniej, południowo-wschodniej i południowo-zachodniej, byłby zupełnie niedostatecznym.

[4]) Sławny grecki pisarz, urodzony w 50 zmarły w 120 r. po nar. Chr

[5]) Rzymski pisarz, zmarły w 69 r. po Chr., pisał *Historję czynów Aleksandra Wielkiego.*

[6]) Tytułu tego używali Królowie u dawnych Peruanów.

się pasły jego krowy. Raz książę lotaryngski Leopold zeszedł go tam otoczonego książkami i mappami i niezmiernie zdziwiony spytał go co robi.

— Uczę się jeografji, — odpowiedział młodzieniec.

— Więc znasz się trochę na tem? — spytał dalej książę.

— Nie oddawałbym się temu, gdybym się na tem nie znał.

— A czegoż to szukasz teraz? — zapytał znów książę, gdy pasterz pochylił się nad mappą.

— Szukam drógi do Quebec'u [1]), bo chcę się uczyć na uniwersytecie tego miasta.

— Sądzę, że są uniwersytety cokolwiek bliżej, i chętnie ci taki wskażę.

Tu książę zrobił mu propozycją dalszego kształcenia się u jezuitów w Pont-à-Masson. Duval przyjął ofiarę z serdeczną radością, lecz pod warunkiem, że jego swoboda przez to ograniczoną nie będzie. W szkole w krótkim czasie zrobił nadzwyczajne postępy.

W r. 1718 posłał go Leopold do Paryża, ciekawy wrażenia jakie na jego umysł wywrze pierwsze ujrzenie stolicy świata. Duval powróciwszy wyznał szczerze, że cały przepych stolicy niczem jest w porównaniu z wspaniałością wschodzącego i zachodzącego słońca i z wzniosłym widokiem zasianego gwiazdami nieba.

W kilka lat później książę Lotaryngji mianował Duvala swoim bibljotekarzem, oraz professorem historji w akademji w Luneville, gdzie w liczbie uczniów jego znajdował się tyle później sławny lord Chattam (znany pod imieniem Williama Pitta), gdy zaś Lotaryngja do Francji przyłączoną została, Duval przeszedł w służbę ówczesnego cesarza niemieckiego Franciszka I (panował od r. 1745—1765), który tego niepospolitego męża powołał do Wiednia i mianował zarządcą zbioru monet i medali i bibljotekarzem swoim. Przed odjazdem do Wiednia, Duval odwiedził swoją rodzinną wioskę i na miejscu domku, w którym w niedostatku i ubóstwie przyszedł na świat, kazał zbudować mocny i wygodny dom, który podarował gminie na szkołę.

Wielki ten mąż, który przy całej swej uczoności nigdy nie przestał być skromnym, dożył wieku 80 lat i umarł w Wiedniu 13 Września 1775 r.

Cześć jego wspomnieniom! Naśladowanie jego przykładowi!

Wład. S.

[1]) Stolica Kanady w Ameryce północnej.

ROZMAITOŚCI.

— **Miesiąc nabożeństwa za dusze w czyscu zostające.** Pod tym tytułem wyszła książka zawierająca cały szereg modlitw, jakie za dusze w czyscu zostające odmawiać należy. Modlitw takich jest na dni 30, ztąd nazwano te modlitwy miesiącem nabożeństw, i na odprawianie tych modlitw poświęcono miesiąc Listopad, zacząwszy od dnia 2 Listopada czyli od Zaduszek. W liczbie tych modlitw, mieszczą się: rozmyślania, modlitwy, przykłady z życia pobożnych ludzi, psalmy pokutne, litanje, pieśni, zadośćuczynienia i wiele innych.



Powrót bocianów—(do str. 163.—Drzeworyt Waltera, rysował Kostrzewski).

Myśli i Zdania.

— Każdy powinien wybierać sobie takie rzemiosło lub czyn, do jakiego się czuje zdolnym i ochotnym.

— Najlepsze rzemiosło jest takie, którego wyroby liczą się do najniezbędniejszych potrzeb.

— Należy nam pracować, jakby się miało żyć wiecznie —a żyć, jakby się miało umrzeć jutro.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowej—Redaktor: Adam Mieczyński.